

TEKSTY ŹRÓDŁOWE

URSZULA WENDA

Wydarzenia w Kopalni Węgla Kamiennego „Wujek” w Katowicach z dnia 16 grudnia 1981 roku w moich wspomnieniach

Wprowadzenie

Po wprowadzeniu stanu wojennego w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku, w poniedziałek 14 grudnia (w niektórych kopalniach już w niedzielę) w ponad 200 zakładach przemysłowych w całym kraju rozpoczęły się protesty i strajki. W ówczesnym województwie katowickim powołano komitety strajkowe i przystąpiono do strajków m.in. w kopalniach: „Andaluzja” (Piekary Śląskie), „Borynia” (Jastrzębie), „Brzeszcze”, „Halemba” (Ruda Śląska), „Komuna Paryska” (Jaworzno), „Manifest Lipcowy” (Jastrzębie), „Lenin” (Wesoła — Mysłówice), „Piast” (Bieruń Nowy), „1 Maja” (Wodzisław Śląski), „Staszic” (Katowice), „XXX-lecia PRL” (Jastrzębie), „Wieczorek” (Katowice), „Wujek” (Katowice), „Ziemowit” (Łęczyny); w tyskiej Fabryce Samochodów Małolitrażowych, Elektrowni „Łaziska”, „Montomecie” (Piekary Śląskie), w dąbrowskim „Budostalu 11”, pszczyńskim „Elwro”, w raciborskiej fabryce „Rafako”, tarnogórskim „Zamecie”, w niektórych zakładach w Będzinie, Bytomiu, Bolesławcu i Sosnowcu. Rozkazy, jakie nadeszły z Komendy Głównej MO do rejonowych jednostek MO, SB, ZOMO i ORMÓ, były jednoznaczne — spacyfikować zakłady i zdusić wszelkie formy protestu. Stosunkowo łatwo udało się stłumić protesty m.in. w Hucie „Baildon”, w kopalniach „Wieczorek”, „Helmba”, „Mysłowice”, „Komuna Paryska”, ale na przykład atak na Hutę „Katowice” zakończył się niepowodzeniem. W wielu zakładach użyto siły, m.in. w kopalniach „Lenin” i „Staszic”, gdzie ZOMO-wcy demolowali nawet hotele robotnicze w poszukiwa-

niu ukrywających się górników¹. W pacyfikacji kopalni „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu Zdroju użyto broni palnej, rannych zostało czterech górników.

Do najtragiczniejszych wydarzeń — jak wiadomo — doszło w KWK „Wujek” w Katowicach. Już 13 grudnia górnicy z nocnej zmiany przerwali pracę na wieść o internowaniu przewodniczącego zakładowej „Solidarności” Jana Ludwiczaka, jednak niedziela upłynęła spokojnie. W poniedziałek, 14 grudnia, pierwsza zmiana górników zdecydowała o przystąpieniu do strajku, domagając się zwolnienia wszystkich internowanych, zniesienia stanu wojennego i realizacji porozumień jastrzębskich. Wkrótce do strajku dołączyli pracownicy drugiej zmiany. Wieści o brutalnych pacyfikacjach przez oddziały ZOMO innych zakładów pracy zaogniły atmosferę. Górnicy postanowili się bronić. 15 grudnia zaczęto budować barykady. W środę, 16 grudnia, kiedy rozmowy strajkujących z przedstawicielami wojska i dyrekcji kopalni nie doprowadziły do porozumienia, najpierw, przy użyciu armatek wodnych i gazu łzawiącego, rozpędzono ludzi gromadzących się przed kopalnią, a o godz. 10.53 dowodzący akcją płk Wilczyński dał rozkaz do ataku na kopalnię. Zakład zaczęto ostrzeliwać środkami chemicznymi, petardami; górników polewano wodą z armatek, z helikoptera zrzucano na nich gaz łzawiący. Przez wyłomy w ogrodzeniu, zrobione przez czołgi, na teren kopalni wkroczyły oddziały ZOMO-wców. Na placu kopalnianym, przed kotłownią, rozgorzała walka. Autorka jednego z opracowań poświęconych pacyfikacji „Wujka” pisze: „W powietrzu latały kamienie, śruby, petardy, świece dymne, granaty łzawiące. Pękały górnicze kaski i zomowskie tarcze. Teren kopalni całkowicie pokrywały chmury gazów. Nad głowami warczał helikopter. Wyły silniki czołgów. W punkcie sanitarnym było już wielu górników zatrutych środkami chemicznymi i rannych od petard. Oddziały ZOMO posuwały się za czołgami, jednak skuteczna obrona górników zmuszała je do wycofywania się. Dowodzący akcją zdecydował o kolejnym natarciu. Czołg ruszył. W tym czasie członkowie Plutonu Specjalnego przeskoczyli przez płot na teren kopalni. W chwilę potem rozległy się strzały z broni automatycznej. Na placu przed kotłownią padli pierwsi ranni i zabici górnicy. O 12.31 płk Wilczyński pytał o zgodę na użycie broni. Domagali się tego dowódcy oddziałów. O 13.02. poinformował podwładnych: »Przerwać ogień«². O godz. 14.00 górnicy zdecydowali się na rozmowy z przedstawicielami dyrekcji kopalni i wojska. Wojskowym oddano zabraną milicjantom broń oraz wypuszczono zakładników, którzy

¹ Z. Szmidtke: *Relacja z pacyfikacji Domów Górnik KWK „Staszic” w Katowicach w dniu 14 grudnia 1981 roku*. „Górniki Polski” (Zeszyty Naukowe Muzeum Górnictwa w Zabrzu) 2007, nr 1, s. 153—160.

² M. Szczęśniak: *Idź i zabij. Pacyfikacja strajku w Kopalni „Wujek”. Zbrodnia nieukarana*. Warszawa 1999, s. 16. Zob. także: J. Dziadul: *Rozstrzelana kopalnia. 13—16 grudnia 1981. Stan wojenny — tragedia „Wujka”*. Warszawa 1991 i in.

zostali zatrzymani przez górników w pierwszych godzinach walk. Po godz. 19.00 strajkujący opuścili teren kopalni.

Od kul milicjantów z plutonu specjalnego ZOMO zginęło 7 górników (Józef Czekalski — lat 48, Józef Giza — lat 24, Ryszard Gzik — lat 35, Bogusław Kopczak — lat 28, Andrzej Pełka — lat 20, Zbigniew Wilk — lat 30, Zenon Zając — lat 22), natomiast w styczniu 1982 roku w szpitalach zmarli dwaj kolejni ciężko ranni górnicy — Joachim Gnida (lat 28) i Jan Stawiński (lat 22). W wyniku pacyfikacji kopalni rany odniosło 49 górników, w tym 25 rany postrzałowe. Łącznie z 41 funkcjonariuszami „sił porządkowych” obrażenia, w tym ciężkie, odniosło 90 osób.

Pomoc wszystkim pobitym, rannym i poszkodowanym nieśli pracownicy służby zdrowia ze śląskich szpitali, przychodni i pogotowia ratunkowego — lekarze, pielęgniarki, salowe oraz inni pracownicy placówek medycznych, podejmując działania, za które w pierwszych dniach stanu wojennego groziły w najlepszym przypadku szykany ze strony władz, a w najgorszym — surowe kary. Dla przewidywanych rannych władze wyznaczyły na Śląsku dwa zmilitaryzowane szpitale — Szpital Górniczy w Ochojcu oraz Szpital MSW w Katowicach. Ówczesny pracownik Centralnego Szpitala Klinicznego w Katowicach-Ligocie prof. Grzegorz Opala wspominał: „Kiedy zorientowaliśmy się, że ranni nie są kierowani do naszego szpitala, adiunkt Kliniki Chirurgii Przewodu Pokarmowego dr Marek Rudnicki nadał przez radio na częstotliwości, którą posługiwało się pogotowie, oficjalnie brzmiący komunikat, aby od tego momentu wszystkich poszkodowanych kierować do Centralnego Szpitala Klinicznego do Ligoty. Kiedy podjechały pierwsze karetki byliśmy już przygotowani i zorganizowani. Wszyscy przydatni w takiej sytuacji byli w Izbie Przyjęć. Większość poszkodowanych była zaopatrywana i odsyłana do domu. Spieszyliśmy się, ponieważ spodziewaliśmy się, że w każdej chwili dotrą do szpitala oficerowie Służby Bezpieczeństwa celem identyfikacji strajkujących, a szczególnie kierujących strajkiem. Do szpitala przyjmowano wyłącznie tych, którzy bezwzględnie musieli być hospitalizowani. Zakładaliśmy im podwójną dokumentację, by nie stało się z nimi tak, jak z rannymi w grudniu 1970 roku na Wybrzeżu. Wiedzieliśmy od sanitariuszy i lekarzy, że ranni przywódcy strajku są wyciągani z karetek pogotowia do transportu własnego MSW, że dochodzi do użycia siły wobec kierowców karetek pogotowia, sanitariuszek i lekarzy. Kiedy okazało się, że rannych z postrzałami głowy zawieziono — zgodnie z poleceniem władz — do szpitala w Ochojcu, gdzie nie ma neurochirurgii, pojechali tam dr Jerzy Stasiak i ówczesny adiunkt Piotr Bażowski, by ich operować”³.

³ G. Opala: *List w rocznicę pacyfikacji „Wujka”*. „Pro Medico” 2007, nr 134, s. 15. Tekst ten zob. także: *Słownik medycyny i farmacji Górnego Śląska*. T. 6. Monograficzny. Śląski Uniwersytet Medyczny. W 60-lecie Śląskiej Akademii Medycznej. Pod red. W. Pierzchały. Katowice 2007, s. 185—186.

Niniejszym przytaczamy relację jednego z lekarzy, który niósł dobrowolnie pomoc rannym górnikom z kopalni „Wujek” — dr Urszuli Wendy. Jest to materiał o tyle cenny, że dr Wenda znalazła się z własnej woli w samym centrum wydarzeń, była ich naocznym świadkiem. Niewątpliwie były to dla niej tak traumatyczne przeżycia, że nawet po upływie wielu lat od tamtych tragicznych godzin, trudno jej mówić o nich bez emocji. W trakcie rozmowy dr Wendzie niejednokrotnie załamywał się głos ze wzruszenia i łzy napływały do oczu.

Urszula Wenda urodziła się w Katowicach w styczniu 1930 roku w rodzinie zawodowego wojskowego. Jej ojciec był starszym sierżantem 73. Pułku Piechoty. Jako członek Armii Krajowej dowodził oddziałem na terenie Katowic. Został aresztowany przez Niemców 21 marca 1944 roku, wywieziony do Oświęcimia i tam rozstrzelany 1 listopada 1944 roku. Jedynaczką była wychowywana tylko przez matkę. W 1956 roku Urszula Wenda ukończyła Śląską Akademię Medyczną w Rokitnicy i od tego czasu pracowała zawodowo jako lekarz pierwszego kontaktu. Jej mąż, również lekarz, wcześniej zmarł, więc konieczność samodzielnego utrzymania rodziny — matki i dwóch córek, urodzonych w 1954 i 1956 roku — zmusiła ją do rezygnacji z większych ambicji zawodowych, m.in. zdawania egzaminów na stopnie specjalizacji. Pracowała w różnych miejscach: staż odbywała na oddziale neurologicznym w klinice w Katowicach-Ligocie, później pracowała w przychodni ogólnej w Katowicach-Ligocie, w pogotowiu ratunkowym i była lekarzem zakładowym w kopalniach „Wujek”, „Siemianowice” i „Katowice”. Pracę wykonywała w nich zamiennie przez 13 lat. W filmie Kazimierza Kutza *Śmierć jak kromka chleba* w jej rolę wcieliła się aktorka Teresa Budzisz-Krzyżanowska, która, jak mówi dr Wenda, „zagrała bardzo dobrze, wiernie mnie oddała, jako tamtą osobę”. Mówi o filmie (była na planie w czasie jego kręcenia i rozmawiała zarówno z Teresą Budzisz-Krzyżanowską, jak i z Kazimierzem Kutzem), że, „niestety, nie oddaje tego, co się tam działo. Wydarzenia tamtego dnia były o wiele bardziej dramatyczne. W filmie też jest wiele nieścisłości, np. my w punkcie opatrunkowym nie przetaczaliśmy krwi” i „nie było tyle krwi, że myśmy się po tej krwi ślizgali”, ale przyjmuje do wiadomości wyjaśnienia reżysera, że film nie jest dokumentem, lecz filmem fabularnym.

Za mobilizację służb medycznych i niesienie pomocy wszystkim rannym i poszkodowanym podczas pacyfikacji kopalni „Wujek” w Katowicach Urszula Wenda otrzymała w 2005 roku medal *Pro Publico Bono*, a w lutym 2007 roku została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Dorota Matlak

Relacja dr Urszuli Wendy⁴

W dniu 16 grudnia 1981 roku byłam w pracy w przychodni w Ligocie. W tym czasie byłam zatrudniona również w pogotowiu, ale tego dnia akurat nie pełniłam tam dyżuru, wiedziałam również, że nikogo w pogotowiu nie ma. W pogotowiu miałam dyżur dzień wcześniej, jeździliśmy tam, koło kopalni, bo to był nasz rejon, tam mieszkali nasi podopieczni. Byłam dokładnie zorientowana w sytuacji. Wiedziałam, że w kopalni ma miejsce strajk, że znajduje się tam mnóstwo ludzi. Przeczuwałam coś złego, można powiedzieć, że spodziewałam się tego, co się tam później stało, ale nie spodziewałam się, że będą strzały.

W naszej przychodni słychać było strzały od strony „Wujka”, bo nie jest ona zbyt bardzo oddalona od tego miejsca, poza tym krążył helikopter, jeździły karetki, ale nie nasze, tylko milicyjne, więc wiedzieliśmy, że dzieje się tam coś niedobrego. Wiedząc, że w pogotowiu nie ma lekarza, zwerbowałam sanitariuszkę, która u nas pracowała (kiedyś pracowała w pogotowiu, a w tym czasie pracowała jako pomoc laboratoryjna w Ligocie), pobiegłyśmy do pogotowia i tam zażądały karetki. Dyspozytor odmówił, ponieważ było odgórne zarządzenie, że karetki można wysłać tylko na telefoniczne wezwanie, niestety, telefony już wtedy nie działały. Połączyłam się ze Stacją Pogotowia Ratunkowego za pomocą krótkofalówki, oznajmiając, że na własną rękę biorę karetkę i jadę pod kopalnię „Wujek”. Wyrażono zgodę, ale ja i tak bym tam pojechała...

Pojechaliśmy pod kopalnię, lecz nie pozwalałam kierowcy włączyć sygnału. Jechaliśmy bez alarmu, dzięki czemu naszymi nie różniliśmy się od karetek milicyjnych. Prześliznęliśmy się obok całego kordonu ZOMO i zdołaliśmy podjechać pod sam budynek dyrekcji kopalni praktycznie niezauważeni. Wjechałam na teren kopalni około godziny 10.00–10.30. Najpierw ewakuowałam rannych i poturbowanych z budynku dyrekcji. Wezwałam przez krótkofalówkę pomoc [karetki z Wojewódzkiego Pogotowia Ratunkowego w Katowicach — D.M.], moją karetką zaś odwoziłam rannych do szpitali. Wiedziałam, że szpitale są przygotowane na przyjęcia. Dopiero, jak wszystkich powywoziliśmy z budynku dyrekcji, weszłam — normalnie w fartuchu i kurtce — na teren kopalni i, niestety, tam już były trupy. Wszyscy leżeli pokotem w Izbie Chorych. Byli tam też inni lekarze (spoza kopalni), bo w tym czasie lekarze z ambulatorium kopalnianego przeszli na teren kopalni i oni już udzielali pomocy na terenie samej kopalni. Na podłodze leżeli ranni obok nieżyjących. Najpierw ewakuowano wszystkich poszkodowanych. Rannym górnikom lekarze nie powiedzieli, że są już zabici. Najpierw ewakuowano

⁴ Relację spisała Dorota Matlak.

wszystkich poszkodowanych, a dopiero później przeniesiono ciała zabitych do zrobionej na szybko prowizorycznej kostnicy. W kuźni ukuli krzyż⁵ i tam te ciała zostały położone...

Wracając do przejazdu karet z Wojewódzkiego Pogotowia Ratunkowego, to zapomniałam powiedzieć kierowcom, żeby nie włączali sygnału. Oni podjechali pod kopalnię na sygnałach i byli zatrzymywani przez ZOMO pod bramą zakładu. Wówczas poszłam z sanitariuszem kopalnianym do sztabu wojskowego, który mieścił się w gabinecie dyrektora kopalni „Wujek”, i tam doszło do ostrej wymiany zdań. Chodziło o zatrzymywane karetki i zakaz udzielania pomocy. Wtedy któryś z nich wyraził się o górnikach: „To są mordercy!”. Na co mu odpowiedziałam: „To wy jesteście Polakami? Jesteście gorsi od gestapo, bo gestapowcy, jak mi ojca aresztowali, to pozwolili nam się z nim pożegnać. Wy teraz to możecie mnie co najwyżej zamknąć!”. Bardzo porządnie natomiast zachował się dyrektor kopalni. Pomimo że oni jakoś tak ostro występowali przeciwko wpuszczaniu dodatkowych karet na teren kopalni, dyrektor połączył się z Jaworznicko-Mikołowskim Zjednoczeniem Górniczym i poprosił o dosłanie nowych karet, ale gdy one przyjechały, cała akcja na terenie kopalni już się zakończyła.

Na udzielanie pomocy poszkodowanym górnikom był przygotowany szpital górniczy w Ochojcu i klinika w Ligocie⁶. Ja nawet wiozłam pacjenta do Ochojca z raną postrzałową w okolicy krtani, żuchwy i nawet nie wiem, co się z nim stało, ale przypuszczam, że wyzdrowiał, bo na liście zabitych nie ma jego nazwiska. Był przytomny, nic nie mówił. Leżał w Domu Kultury kopalni „Wujek”. Skąd się tam wziął — też nie wiem. Raz zostałam zatrzymana, ZOMO-wcy sprawdzali wnętrza karet, jeden z nich bardzo brzydko się odezwał, zawołał będącego z nimi lekarza wojskowego i kazał mu sprawdzić, czy przewożony poszkodowany wymaga hospitalizacji, czy nie. Lekarz wojskowy bardzo ładnie się zachował, zapytał mnie: „Kogo pani doktor wie?”. Obie z sanitariuszką nie powiedziałyśmy, że to jest postrzelony górnik, tylko że wieziemy człowieka z podejrzeniem zawału. Inne karetki, które wywoziły postrzelonych i rannych były zatrzymywane i chorym odbierano dowody osobiste i znaczki. Następnym górnikom, których my woziliśmy w karetkach, ktoś z naszych odbierał znaczki i dowody osobiste i ci górnicy jechali już anonimowo. Były przypadki, że ZOMO-wcy wyciągali z karet poszkodowanych i bili ich. Zdarzało się również, że pobici byli sanitariusze. Potem oni leżeli w szpitalach. Nawet niektórzy lekarze udzielający pomocy poszkodowanym, którzy mieli pecha natknąć się na zwyrodnialców, spotykali się z obelgami.

⁵ Krzyż ten, po zabraniu ciał zabitych z prowizorycznej kostnicy w stacji ratownictwa, postawiono przy ścianie kotłowni, w miejscu gdzie zginęli górnicy.

⁶ Dr Wenda mogła nie wiedzieć, że klinika w Ligocie nie była przez władze wyznaczona do przyjmowania rannych.

W punkcie zastrzykowym na kopalni byli również pacjenci z zawałem serca i stanem przedzawałowym, którym przetaczaliśmy kroplówki (nie krew, jak było pokazane na filmie) i trzeba było chorych z tą kroplówką wynosić. Wtedy ja poszłam tam, gdzie teraz jest pomnik (wtedy był tam rozbity mur), wprost do tych ZOMO-wców. Poszłam tylko w samym fartuchu, za mną szedł sanitariusz kopalniany i pielęgniarka. Szli ze mną do momentu, gdzie kończył się barak, potem oni zostali, a ja dalej szłam sama. Bałam się. Mówiłam, że jestem lekarzem i chcę rozmawiać z kimś, kto tą grupą dowodzi i podszedł do mnie oficer, nie wiem, w jakim stopniu, i wtedy ja powiedziałam, że jestem lekarzem, mamy rannych wymagających natychmiastowej hospitalizacji i przewozu do szpitala i potrzebujemy natychmiast karetkę wjechać na teren kopalni. Zapytałam, czy nam pozwolą? Więc on odpowiedział, że owszem — proszę wjeżdżać. Wtedy powiedziałam, żeby tego nie wykorzystali i za naszą karetkę nie wtargnęli na teren kopalni. On mnie zapewnił: „Daję słowo, że nie!”. Przyszłam z tą wiadomością do punktu, a górnicy na to: „My tym ch... nie wierzymy, sami będziemy wynosić rannych”. I od tego momentu zaczęli sami wynosić poszkodowanych z punktu opatrunkowego do karetek, a karetki podjeżdżały tylko pod kopalnię, a na teren zakładu nie wjeżdżały.

Górnicy, którzy byli lżej ranni, przychodzili sami do punktu opatrunkowego. Często przeklinali, byli też i tacy wśród rannych, którzy płakali, ale nikt nie żałował, że został na terenie kopalni. Najgorsze było... rodziny pod murem, pod siatką. Jak już się rozeszła wiadomość, że są zabici (początkowo nie podawano tej informacji)... no to coś strasznego. Każdy krzyczał: „A mój, a mój, a jak tam mój?!”. Matki, żony, dzieci...

Raz, kiedy z punktu opatrunkowego wywoziłam karetką młodego chłopaka, ktoś z tłumu krzyknął: „To jest ORMO-wiec, na latarnię z nim!”. „Ja nie jestem żadnym ORMO-wcem!”, krzyczał ten młody człowiek. Mówię do niego: „Chłopie, wsiadaj do karetki!”, gdyż o lincz było wtedy bardzo łatwo. On wbił się pod nasze nosze tak, że myśmy nie mogli go stamtąd wytargać. Wywoziliśmy go wtedy razem z innym rannym górnikiem, który był w karetce. Do dziś nie wiem, czy to był sprawca, czy nie? Wtedy uważałam, że tak należało postąpić.

Innym razem, kiedy weszłam na moment do baraku, gdzie byli przetrzymywani zatrzymani przez milicjantów górnicy, byłam świadkiem, jak jeden z nich podszedł do ZOMO-wców z bronią, ukląkł przed nimi i prosił ich o darowanie winy, mówił, że ma żonę i dzieci. Inny chyba nawet płakał. To był moment, ale tak było, ja to słyszałam.

Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, kto wydał rozkaz strzelania. Ktoś musiał tę dyspozycję wydać. Jeżeli (milicjanci) dostali już ostre naboje, to chyba było z góry przewidziane, że należy ich użyć. Nie wierzę, że ktoś samowolnie używałby broni palnej. Nie myślałam wtedy, że mogę zginąć.

Nie docierało do mnie, że mogą mnie przecież zamknąć, a tym bardziej — do mnie strzelać. Jakoś uważałam, że ten problem mnie nie dotyczy, mimo że nie przestrzegano konwencji Czerwonego Krzyża.

Po zakończeniu pacyfikacji kopalni byłam raz wezwana na ulicę Dworską w Katowicach, do prokuratury wojskowej, gdzie mnie przesłuchiowano. Zakazano mi opuszczać teren zamieszkania — miałam pozostawać w Katowicach. Więcej mnie nie wzywano i żadnych konsekwencji wobec mnie nie wyciągano. Nie nachodzono mnie w domu — może mnie obserwowano, ale tego oficjalnie nie wiem.

Patrząc z perspektywy lat, jakie upłynęły od tych tragicznych wydarzeń, uważam, że wszystko, co się wtedy stało złego na kopalni — ranni, pobici, okaleczeni fizycznie i psychicznie — to wszystko było niepotrzebne. Władza mogła w inny, mniej drastyczny sposób rozwiązać ten problem.

Urszula Wenda

My own recollections of the events of 16th December 1981 in the “Wujek” coal mine

Summary

Urszula Wenda was in the group of doctors that voluntarily, lead by their sense of responsibility for delivering care, regardless of the consequences, witnessed the events of 16th December 1981 in the “Wujek” coal mine, when the miners’ strike was brutally crushed.

Her account of the events is one of the rare and moving recollections of doctors who in the first days of Martial Law were the eye-witnesses of the clashes between the workers and the ZOMO (Pol. Motorized Reserves of the Citizens’ Militia) units, the brutality of the militia, deaths of the miners, but also sacrifice of the doctors, nurses, paramedics, delivering care to wounded participants of the strikes. Urszula Wenda not only helped the injured, but also organized and mobilized the medical staff and demanded from the officers leading the pacification treating the wounded and injured in the humanitarian way.

Urszula Wenda

Die Ereignisse in dem Kohlebergwerk „Wujek“ vom 16. Dezember 1981 in meinen Erinnerungen

Zusammenfassung

Urszula Wenda gehörte den Ärzten, welche aus freien Stücken, sich von dem Pflichtgefühl, den Geschädigten Hilfe zu leisten, leiten lassend, auf mögliche Folgen nicht achtend

sich am 16. Dezember 1981 auf dem Gebiet des Kohlebergwerks „Wujek“ befanden, als dort der Bergarbeiterstreik sehr brutal und mit Feuerwaffe niedergeschlagen wurde.

Ihr Bericht ist eine der wenigen und ergreifendsten Erinnerungen von den Ärzten, die sich an den ersten Tagen des Kriegszustandes in Polen im Mittelpunkt der Ereignisse befanden und Augenzeugen von den Zusammenstößen der Arbeiter mit bewaffneten ZOMO-Truppen, von der Brutalität der Miliz, aber auch von der Opferbereitschaft der Ärzte, der Krankenschwester und der Sanitäter waren. Urszula Wenda leistete medizinische Hilfe den geschädigten Bergarbeitern; sie veranstaltete auch eine soziale Hilfe, mobilisierte den Sanitätsdienst und forderte von den die Niederschlagung führenden Offizieren eine humanitäre Behandlung von verletzten und zusammengeschlagenen Arbeitern.